

TRZY TYPY PROROCKIE

(Joanna D'Arc, Jeremiasz, Paweł)

WSTĘP

W całokształcie typów religijnych, typ prorocki jest może nie najważniejszy, ale bezprzecznie najefektowniejszy i najciekawszy do studiowania z punktu widzenia psychologicznego. Ciekawy jest on zwłaszcza dla teologa katolickiego, uznającego tzw. „historyczne objawienie boskie“ tj. fakt nadprzyrodzonego wkraczania Boga w dzieje życia religijnego ludzkości i kierowania tymiż dziejami za pośrednictwem specjalnie powołanych i prowadzonych boską łaską religijnych geniuszów. Prorok wyrasta z łona konkretnego środowiska rasowego i etnicznego, jest integralnym członkiem konkretnego narodu, należy do określonej rodziny, dziedziczy cechy charakteru swych przodków i zachowuje własne cechy indywidualne. Równocześnie jednak jest on wybrany przez Boga do pełnienia misji uniwersalnej, ogólnoludzkiej, a więc jak gdyby wyjęty ze środowiska, z którego wyrósł, i wyniesiony ponad nie, wyabstrahowany z grona otaczających go indywidualów, uczyniony jak gdyby osobą ponadindywidualną, reprezentującą, a poniekąd i zastępującą na ziemi samego transcendentnego Boga. To właśnie zespolenie w proroku charakteru indywidualnego z charakterem ogólnoludzkim, nadaje jego psychice bodaj najwięcej oryginalności i tajemniczości czyniąc ją pod wielu względami niezmiernie trudną do zrozumienia dla przeciętnego śmiertelnika, myślącego przeważnie kategoriami czysto naturalnymi.

Nic dziwnego tedy, że osobistości o typie prorockim pociągały zawsze pisarzy zajmujących się szczerze i poważnie zagadnieniami religijnymi, oraz usiłujących wniknąć głębiej w tajniki religijnego życia. Nic dziwnego, że ściągnęły one na siebie główną uwagę również polskiego powieściopisarza ostatniej doby, Jana Dobraczyńskiego, który najpoważniejszą część swej pracy literackiej poświęcił studiowaniu i literackiemu odtwarzaniu obrazu życia wewnętrznego wielkich postaci prorockich: Jeremiasza, Pawła i Joanny d'Arc, próbując uchwycić nić, wiążącą w nich czynnik przyrodzony z nadprzyrodzonym, ludzki z boskim, ziemski z transcendentnym¹⁾.

¹⁾ Por. Dobraczyński Jan, *Dwa stopy*, Warszawa 1947. (Powieść poświęcona Joannie d'Arc). *Wybrańcy gwiazd*, Poznań 1948. (Powieść poświęcona Jeremiaszowi). *Święty miecz*. Powieść z cyklu: *Wybrańcy gwiazd* — Część II, Poznań 1949 (Powieść poświęcona św. Pawłowi).

Dobraczyński uświadamia sobie niewątpliwie, że sprawa sposobu sprzęgnięcia się w jedną organiczną, działającą całość czynnika naturalnego i nadnaturalnego, -- człowieka i Boga, pozostanie w swym jądrze zawsze ostatecznie tajemnicą. Zdaje się jednak wychodzić z założenia, iż nie jest możliwe, by działanie łaski nie odbiło się widzialnie na przebiegu naturalnych psychologicznych procesów i funkcji ludzkich a to w postaci przede wszystkim specjalnych napięć psychicznych, zdradzających bodaj w części sposób, w jaki czynnik nadnaturalny reguluje i modyfikuje świadome i wolne działanie czynnika naturalnego. Gdyby istotnie tak było, wówczas wypatrując na konkretnych przykładach i zestawiając owe psychologiczne „ślady“ działania łaski, możnaby może na ich podstawie określić, bodaj w przybliżeniu, jeśli już nie „prawa“, — bo o takich nie podobna mówić tam, gdzie działa Bóg — to przynajmniej „wzory“, według jakich działanie łaski bożej na naturę ludzką najczęściej się odbywa. Poznanie zaś tego rodzaju nadnaturalnych „dróg bożych“ miałoby donieść korzyści dla religijnego samopoznania człowieka.

Dobraczyński nie zdradza wprawdzie nigdzie wyraźnie, że istotnie taka jest idea przewodnia jego religijnych powieści. Narzuca się to jednak od razu czytelnikowi, przeświecając niejako poprzez wszystkie religijno-psychologiczne wywody i opisy autora. Pamiętajmy wszakże, że autor nie jest psychologiem-badaczem, lecz powieściopisarzem. Toteż gdy na bohaterów swych powieści obiera trzy wielkie postacie świętych, wybiera je nie po to, by na nich śledzić szczegółowo reakcje psychiczne, jakie się w nich faktycznie budziły pod wpływem działania łaski. Wątpliwe zresztą, czy mógłby je śledzić na postaciach historycznie tak od nas odległych. Choć podbudowuje swe wywody sumiennym zapoznaniem się ze wszystkim, co o rzeczywistym zewnętrznym i wewnętrznym życiu tych osób wiedzieć można, obiera je na to tylko, by uzyskać z ich rzeczywistych, konkretnych przeżyć, bodaj kanwę, na której rozsnuwając barwne nici własnych rozlicznych obserwacji przeżyć, doznań, refleksji, a nierzadko również fantazji twórczej, mógłby budować pewne typy ogólne, — ponadprzestrzenne i ponadczasowe uosobienia tego, co gdziekolwiek i kiedykolwiek w mniejszym lub większym stopniu przeżywa człowiek jako taki, pozostający pod działaniem boskiej łaski.

Toteż byłoby wielkim nieporozumieniem, gdyby ktoś przykładając do malowanych przez Dobraczyńskiego postaci świętych szablon naukowego badacza, historyka lub psychologa, czynił mu zarzut, że

wybiegł poza ramy materiału źródłowego i przedstawił Joannę, Pawła czy Jeremiasza inaczej, niż ich określają dostępne nam dane historyczno-hagiograficzne. Dobraczyński nie chciał bynajmniej fotografować swych świętych. Dobraczyńskiego Joanna, Jeremiąsz czy Paweł, to nie postacie historyczne, ale postacie — symbole, to wylęgte w głowie autora i ulepione z jego własnych przeżyć i refleksji, obserwacji i poglądów personifikacje religijnych doznań najrozmaitszych jednostek ludzkich, pozostających pod wpływem łaski.

Podejmując przedstawienie obrazu duchowego trzech wymienionych wyżej postaci prorockich, tak, jak zarysował się on w umyśle i wyobraźni twórczej Dobraczyńskiego, zdajemy sobie sprawę, że należałoby zacząć od postaci historycznie najstarszej, mianowicie od proroka Jeremiasza, a później dopiero przejść kolejno do Pawła i Joanny. Sam Dobraczyński zaczął jednak swe studium nie od proroka Starego Testamentu, ale przeciwnie od postaci Joanny. Jego powieść „Dwa stosy“ była pierwszą próbą odtworzenia po literacku religijnej psychiki proroka, a stąd zawierała ona z natury rzeczy jeszcze wiele niedociągnięć i niedomówień, właściwych każdej pierwszej próbie. Te niedociągnięcia i niedomówienia starał się Dobraczyński uzupełniać kolejno w dwóch dalszych powieściach: w „Wybrańcach gwiazd“ i w „Świętym mieczu“, poświęconych Jeremiaszowi i Pawłowi. Ze względu właśnie na moment rozwoju w twórczości powieściopisarskiej Dobraczyńskiego, wydaje się bardziej stosownym trzymać się kolejności obranej przez samego powieściopisarza, tj. rozpocząć od postaci Dziewicy Orleańskiej, takiej, jak ją przedstawił Dobraczyński w „Dwóch stosach“.

I.

JOANNA D'ARC

Powieść „Dwa stosy“ dzieli sam autor wyraźnie na dwie odrębne części, z których pierwsza przedstawia historię spalenia Husa, — druga historię spalenia Joanny d'Arc. Obie części łączy jednolitą fabułą, ciągnącą się przez całą powieść, a mającą za temat wycinek z dziejów życia polskiego rycerza Bolesty, który najpierw w Konstancji jest mimowolnym świadkiem procesu praskiego rektora, — później zaś we Francji świadkiem zwycięstw i stracenia Dziewicy Orleańskiej. Dzieje Bolesty odgrywają jednak w „Dwóch stosach“ tylko rolę jak

gdyby rembrandtowskiego cienia, z którego wyłaniają się mniejszymi lub większymi fragmentami, silniej lub słabiej oświetlone obie postacie głównych bohaterów powieści. Ale i te postacie rysuje Dobraczyński w sposób odmienny. Husa szkicuje tylko paru zaledwie wyrazistymi i jędrnymi rzutami, na Joannie natomiast skupia całą uwagę, odtwarzając jej osobę, koleje losu i przeżycia wewnętrzne z całą starannością i widocznym pietyzmem.

Przypatrzmy się bliżej świętej prorokini — Deborze Nowego Przymierza¹⁾.

Nie miał Dobraczyński łatwego zadania, gdy podejmował przedstawienie postaci i misji Dziewicy Orleańskiej. Postać jej jest ze wszystkich postaci świętych bodajże najtrudniejszą do psychologicznego zrozumienia i literackiego odtworzenia, tak, by z jednej strony zachowała swój pełny realizm, a z drugiej nie ugrzęzła w banalności. Trudny do zanalizowania i odtworzenia jest zwłaszcza pierwszy okres jej życia — okres dziecięctwa i powołania. Zdając sobie widocznie z tego sprawę, Dobraczyński pominął ten okres a wprowadził Joannę na scenę już jako wodza armii idącej na Orlean.

Z naciskiem podkreśla Dobraczyński naturalne cechy fizyczne i psychiczne w osobie Joanny, oraz specjalnie korzystne warunki historyczne, w jakich rozpoczęła swą misję. Chce w ten sposób zaznaczyć, że nawet tam, gdzie za narzędzie łaski bywają wybierane osoby ludzkie w swym całokształcie zupełnie nieproporcjonalne pod względem czysto naturalnym do wielkości dokonywanego dzieła, Bóg nie abstrahuje bynajmniej od naturalnych warunków życia i wartości osobistych wybrańca, lecz do nich właśnie działanie swej łaski nawiązuje. Joanna przy całym swym prostym pochodzeniu nie była, według Dobraczyńskiego, ani zahukanym, naiwnym, wiejskim dzieckiem, ani zhistryzowaną dewotką. Była to:

„...wysoka, tęga, pełna energii dziewczyna, u której tylko głos zdradzał płeć, bo ubrana w ciężki pancerz nie różniła się niczym w tym stroju od mężczyzn...” (str. 178)

„...całość tchnie wdziękiem, ale i siłą. Ciemna cera zdradza chłopkę, białe zęby między świeżą czerwienią warg, zdrowie... To nie jest wcale łagodna, cicha dziewczyna, ale pełna temperamentu amazonka, zacięta w walce, straszna w starciu” (str. 196)

„Gdy rozkazuje (mówi o niej Bolesta), jej „chcę” ma siłę, której nie można się oprzeć” (str. 216).

¹⁾ Por. Ks. Sędziów, Rozdział IV.

Występowała też Joanna ze swą misją w zupełnie specyficznych warunkach społecznych:

„Nie ufano rycerzom. Lud skłonny był sądzić, że każdy z nich walczy jedynie dla swego dobra, dla swego interesu, i nie mylił się w swym osądzie. Ale Joanna wyszła spośród nich samych. Była chłopką, jak oni... Ludność była z niej dumna i ufała jej, ale jednocześnie ufając jej wierzyła, że stał się jakiś cud, **cud** boży i że Joanna sama jest żywym cudem. Wraz z pojawieniem się lotaryńskiej pasterki na arenie dziejów dokonywać się począł głęboki proces przemian w społeczeństwie francuskim... Jeżeli w Polsce poczucie jedności wiążące rycerza i chłopa... wciąż jeszcze było żywe, to we Francji każde księstwo... uważało się za samodzielną, autonomiczną jednostkę... Poczucie wspólnoty zamarło... Zbawienie musiało wyjść z tłumu, z tego właśnie tłumu, którego nic — zda się nie wiązało z całością. Dlatego też Joanna, stojąc na czele wojska Delfina, zyskiwała sobie od razu tysiące zwolenników. Ona dzięki temu, że była tylko pasterką, umiała zjednoczyć cały naród...” (str. 210).

Przy całej swej energii i indywidualności osobistej, Joanna była przez cały czas niezachwianie przekonana, że nigdy nie podjęłaby swego dzieła, gdyby nie została do tego powołana i wprost zmuszona przez Boga. Co więcej, ku temu wszystkiemu co robiła, nie miała nigdy specjalnego upodobania, ani nawet specjalnej chęci. Nie wyrobiły ich w niej nawet osiągnięte sukcesy. Przeciwnie, wciąż marzyła o tym, by wrócić do dawnego, spokojnego wiejskiego życia. Jeśli mimo tego działała, jeśli podejmowała wciąż nowe wysiłki, to wyłącznie tylko z poczucia posłuszeństwa wzywającemu ją do tego Bogu (por. jej rozmowę z jednym z książąt po zdobyciu Orleanu str. 205).

Chwilę, gdy pierwszy raz spadło na nią to boże wezwanie, pamiętała dobrze. Ale ze sposobu wezwania nie potrafiła sobie szczegółowo zdać sprawy. W jej świadomości pozostały z tego tylko luźne, ogólnikowe fragmenty. Pamiętała, że

„...szumiał wiatr w gałęziach nadrzecznych drzew, gdy pewnego dnia w blasku bladego... słońca, posłyszala przerażające słowo rozkazu. Była wtedy tak wystraszona, że nie śmiała nic odpowiedzieć, tylko serce biło jej gwałtownie w piersi... Zdawało jej się, że w szumie (w i c h u r y) słyhać tupot kopyt końskich, pokrzyki żołnierskie, wrzask tręb. Była to muzyka stosowna do najdziwniejszego z wezwań, jakie kiedykolwiek usłyszała. Jeszcze dziś słyszy tamte słowa: idź, córko Boga, idź. To było jakieś szaleństwo, a jednak ani na chwilę nie ogarnęły jej wątpliwości. Stała pokorna, strwożona, drżąca, przejęta otrzymanym rozkazem, lecz już od pierwszej chwili z nim pogodzona... Rozkaz spłynął na nią z niepojętej dali. Wytrysnął jak płomień z morza światła. Był mocarny jak wiatr... przygiął ją swą siłą do ziemi... spłynął na nią niespodziewanie, ogarnął ją i nie chciał ze swoich objąć wyzwolić...” (str. 264 n.).

Choć pierwsze wezwanie nie wywołało w Joannie żadnego większego wstrząsu psychicznego i nie sprowadziło żadnych wewnętrznych walk — choć od pierwszej chwili towarzyszyła mu niezachwiana pewność przeświadczenia i stanowcza decyzja woli, nie znaczy to jednak, by Joanna cały czas działała tylko pod wpływem tego jedynego pchnięcia bożego. Dobraczyński wyraźnie mówi, że wezwanie powtarzało się później jeszcze wiele razy, coraz wyraźniej i coraz silniej, a przybierało postać wizji. Joanna przy całej swej zdrowej, silnej i trzeźwej naturze, była mistyczką, wizjonerką.

Przy tej okazji spotykamy też u Dobraczyńskiego pierwszą próbę wyobrażenia sobie i odtworzenia po literacku wizji mistyczno-prorockiej.

„...Ogarniał ją początkowo... zawsze lęk, dreszcz zbiegał po ciele i zdawało się jej, że tętna krwi w skroniach biją coraz wolniej, że zamiera, a wraz z nią zamiera cały świat, staje czas, następuje głucha pustka, noc, noc czarna i bez końca, w której człowiek zanurza się jak w mrocznej wodzie stawu aż do utraty resztek światła. Modliła się wciąż. Gubiła się w słowach, ale błagała całym sercem i całą duszą. Napięcie błagania rosło tym uporczywsze, im wyżej ponad głową piętrzyła się studnia nocy ducha. Ciało dosięgało dna swej agonii, aż wreszcie przerywał się gdzieś w dali całun mroku. Powietrze wracało ku zdławionym płucom; cierpienie rozwiewało się bez śladu... niosąc zapomnienie i ukojenie. Teraz serce biło inaczej, żywiej, prędszej, radośniej, jak nigdy nie potrafił bić pośród radości ziemskich. Zapadała w otchłań blasku, ale ten blask nie raził jej oczu. Oczy bowiem stały się jakieś inne, bardziej bystre, zdolne do oglądania tego, czego zwykle nie widziały. Blask nasiąkał wszystkimi kolorami tęczy... Utracał swoją realność, choć nie przestawał być rzeczywistością... Teraz modlitwa tryskała z jej serca prosto, jakby opadły wszystkie więzy, bieg jej hamujące... Nie mknęła ku chmurom i nie znikwała za nimi, jak zwykła codzienna modlitwa przyziemnych istot, ale wyciągała się w ogromną strzałę, której grot tkwił w powodzi światła. Spinała jej serce z tamtym płonącym Sercem przepożętną klamrą. I wtedy, jakby powrotną falą wstępowała w nią moc i siła. Oglądała rzeczy niepojęte dla siebie. Trzepotała się radością przeogromną i topiła się w żarze miłości przemóżnej, świetlanej. Ile by dała, aby mogła przedłużyć w nieskończoność czas tego trwania. Ale jak łańcuch, który ją wiązał z ziemią i nie dawał swym ciężarem zapomnieć o swojej obecności, tak bolała ją świadomość konieczności powrotu. Tamto w dole było dalekie, niepozorne, beztreściwe. A jednak jeszcze należała do tamtego życia, choć jej życie wzrosło korzeniami w świat blasku, w świat przewycięzającej wszystko miłości. Więc modliła się o prawo pozostania już tutaj na zawsze. I wtedy w świetlanej mgławicy wirujących kręgów zstępowały ku niej obie święte (Katarzyna i Małgorzata)... Mówiły do niej, a ich słowa miały w sobie zaklęty grom Boskości. Niosły na swoich szatach blask słońca, w którego promieniach przybywały. Dźwigały ją kochającym dotknięciem rąk. Co mówiły? Joanna nie zawsze była zdolna wszystko pojąć. Pocieszały ją i mówiły, aby się nie martwiła. Wzywały do wy-

trwania... Coś pokazywały... Wyciągała ręce. Lecz nagle mrok powrócił z brutalną gwałtownością. Światło, w którego blaskach zstępowały ku niej święte, zapadało się w głąb. Nadchodziła noc dnia ziemskiego. Ciało zawieszona w bezczasie spadało na posadzkę przystrojonej komnaty. Modlitwa pojawiała się znów na wargach i znowu walczyła z tysiącem przeszkód, które jej lot starały się powstrzymać" (str. 261 n.).

Wewnętrzne przeżycia mistyczne odbijały się — według Dobraczyńskiego — również na zewnętrznym wyglądzie Joanny. Gdy rycerz Bolesta odwiedził ją raz późną nocą w więzieniu,

"...nagle cofnął się pełen straszliwego przerażenia. Była w celi, a przecież jej nie było. Nawet ciało, dążąc za duszą ku otchłannym wyżynom, zerwało więzy ziemi, by zawisnąć w pustce... W cieniach mrocznej izby pałała twarz. Rozpalał ją blask wewnętrzny. Błada, prześwietlona ogniem twarz, a cała postać ciemna, zawieszona w mroku. Rzekłbyś twarz topielca, wyglądająca z nurtu czarnej, napojonej nocą rzeki. Ciemność nie mogła ogarnąć światła. Nie mogła także ogarnąć radości, która zastygła na twarzy. Było coś niepojętego, coś niewyraźnego w tym szczęściu. Jakby blask, który jest samą czystością. Jakby czystość, która jest blaskiem... Jakby pełnia, która nie jest już człowieczeństwem..." (str. 285).

Przeświadczona do głębi, iż we wszystkim co działa jest narzędziem łaski, Joanna Dobraczyńskiego daleką była jednak od kwietyzmu, od całkowicie i wyłącznie biernego poddania się działaniu bożemu. Do końca życia była przekonana również o tym, że obowiązkiem jej jest wyęźać swe siły naturalne, współpracować z łaską. Pojmowała to jako ogólną zasadę, obowiązującą powszechnie, wszędzie, gdzie Bóg człowieka swą pomocą łaski wspomaga. Znamienną pod tym względem jest jej rozmowa z jednym z rycerzy po zdobyciu Orleanu:

— „Dziwna jesteś, Joanno. Mówisz, że tobie da Bóg zwycięstwo, a nie tłumaczysz, dlaczego husyci pobili krzyżowców, którzy na nich szli.

— Bóg chce aby człowiek działał. Nic za nikogo robić nie będzie.

— Ależ oni właśnie walczyli.

— Nie każdy, który bierze miecz do ręki, służy Bogu.

— Szli przecież z imieniem bożym na ustach.

— A czy mieli Boga w sercach?

— Joanno, a czy ty jesteś pewna, że masz Boga w sercu...?

— Czy mam Boga w sercu? Skądże to ja mogą wiedzieć? Chcę Go mieć, bo inaczej nie mogłabym żyć. Wy powinniście wiedzieć, czy ja mam Boga w sercu. Mnie Bóg kazał tylko walczyć..." (str. 207).

Choć jednak współdziałanie z nadprzyrodzoną łaską przy pomocy naturalnych wysiłków uważa Dobraczyński za najbardziej znamienny rys postaci Joanny — za ten rys, który jej dopiero nadaje charakter

typu prawdziwie świętej osoby, to jednak nie samo owo „*facere quod est in se*“ stanowi dla niego główny przedmiot zainteresowania. Interesuje go bardziej jeszcze to, co z naturalnym współdziałaniem ludzkim wiąże się z reguły i nieodłącznie u każdego człowieka świątobliwego, mianowicie powstające na tym tle konflikty i napięcia duchowe. Stanowią one konieczną konsekwencję niezgłębionego, tajemniczego zespolenia sił nadnaturalnych z naturalnymi, a bywają tym głębsze i dotkliwsze, im potężniejsze i bogatsze jest działanie łaski. Podwójne bywa źródło tych konfliktów, a stąd też dwojaki zasadniczo ich rodzaj. Pierwszym źródłem jest okoliczność, że Bóg, zarówno w istocie swej jak w swym działaniu, jest nieuchwytny dla zmysłów ludzkich. To stawia człowieka współdziałającego z łaską często wobec przykrej niepewności, czy istotnie jego wysiłki idą w danej chwili po linii i woli boskiej, czy są istotnie „współdziałaniem“ z Bogiem, czy też może drogi boże i ludzkie rozbiegły się, a nawet pokrzyżowały. Niepewność pod tym względem bywa nieraz dla człowieka tak bolesna, że grozi wprost wciągnięciem go w otchłań beznadziejności i zwątpienia. Zdarza się, iż Bóg sam wydobywa człowieka z niepewności, zsyłając jakiś widoczny znak, czasami jednak Bóg milczy przez dłuższy okres, jak gdyby chcąc wypróbować, doświadczać swego wybrańca. — Drugim źródłem konfliktów jest to, że przy całym przemożnym działaniu łaski, człowiek pozostaje jednak istotą wolną. Wola zaś ludzka nie jest izolowana, lecz wpleciona w całokształt struktury psychofizycznej człowieka. Stąd nieraz, gdy drogi boże nie zgadzają się z drogami ludzkimi, człowiek, mimo najbardziej poddańczego nastawienia samej woli, odczuwa odruchy buntu w innych dziedzinach życia naturalnego. Wówczas w nastawioną zasadniczo na posłuszeństwo Bogu wolę biją zewsząd niby tarany usiłujące ją złamać. Tak bywa zwłaszcza wtedy, gdy człowiek świadom jest tego, że jako narzędzie w rękę Boga pełni swą rolę, tępiąc się, krusząc i łamiąc. Świadomość, iż Bóg żąda od niego ofiary, nieraz ofiary z własnego życia, staje się dla człowieka źródłem wielkich napięć wewnętrznych, podobnych do napięć Ogrojca, które z duszy ludzkiej dobywają rozpaczliwy okrzyk: „*spraw niech odejdzie ten kielich ode mnie*“.

Oba rodzaje napięć i konfliktów odmalowuje Dobraczyński kreśląc postać Joanny w ostatnim okresie jej życia, tj. od chwili załamania się jej powodzeń po ukoronowaniu Delfina w Reims, aż do spalenia jej na stosie. Doprowadziwszy do koronacji francuskiego królewicza, Joanna

„w rzeczywistości nie miała pojęcia, co ma ze sobą dalej robić. W jej myślach była obecnie wielka próżnia. Poprzednio brzmiały jej wciąż w uszach jakby dwa hasła bojowe, dwie nazwy: Orlean i Reims. Lecz oba te marzenia stały się rzeczywistością. Wydawaćby się mogło, że los całej wojny zostanie przesądzony, gdy wprowadzi króla do katedry w Reims. Tamto się dokonało, a wojna wciąż jeszcze trwała... Jeżeli jest potrzebna Francji — powtarzała sobie Joanna — to zostanie. Głosy przestały jej wprawdzie mówić o przyszłości, ale jej nie opuściły. To znaczy — tłumaczyła sobie — że chcą, abym dalej walczyła. Nie odejdę więc. Niech się dokona ofiara wielkiej wiary aż do końca. Niech mi będzie wolno wszystko poświęcić. Została więc, ale z wewnętrznym poczuciem, że zbliżają się obecnie zasadnicze zmiany w jej życiu. Niebo było wyjątkowo dla niej łaskawe i częściej niż kiedykolwiek zsyłało pociechę. Spotykała się wciąż ze swoimi świętymi, a te starały się ją pocieszyć i umocnić. Tylko, że milczały o losach wojny” (str. 263 n.).

Ta bolesna — choć w tym wypadku jedynie częściowa niepewność Joanny — została wprawdzie po pewnym czasie usunięta przez specjalne oświecenie boże, usunięcie jej wszakże nie tylko nie usunęło jej bólu, lecz przeciwnie, znacznie go jeszcze powiększyło. Joanna bowiem dowiedziała się teraz z przerażeniem, że Bóg żąda od niej tragicznej ofiary z samej siebie, że żąda poświęcenia z własnej wolności, a nawet z własnego życia:

„Aż wreszcie pewnej nocy... obudziła się nagle z tym wrażeniem, że ktoś ją woła... Usiadła na łożu. Przez chwilę jej oczy szukały czegoś w mroku. Ale potem zdała sobie sprawę, że noc, która ją otacza, nie jest tylko porą gwiazd i księżyca. Znalazła się niespodziewanie poza kręgiem zjawisk ziemskich. Zanurzyła się w tak bardzo sobie znaną noc ducha... Zwolna noc poczęła się rozpraszać. Wstawał blask potężny... I gdy z morza blasku wystąpiły ku niej obie Opiekunki, nie niosły jej jak zwykle słów pociechy i ukojenia, ale spływały dostojne, pełne groźnej powagi rozkazu, który przynosiły. Była w nich moc nieutajona i żar na twarzach... I gdy zaczęły mówić, Joanna zastygła w posłuchu. Wie co mówiły wówczas. Wie tym pewniej, że ciągle będą jej teraz nowy rozkaz powtarzać. Straszny rozkaz! Straszniejszy niż ten, który kazał iść jej, dziewczynie wiejskiej, — do boju z żołnierzami. A przecież wie dobrze, że posłucha go, choćby sto matek i sto ojców łamało dłonie i choćby ta niewola, która ją czeka, równała się śmierci. Więc i tego jeszcze potrzeba? Niech będzie, niech się stanie! Oto zbliża się noc, a z nią zdrada okrutna. Zbliży się noc i w niej kryjąca się straszna pokusa — pokusa Piotrowa — że chwila ta nie przyjdzie. Przyjdzie! Głosy nie skłamały jej nigdy. Bo jeżeli ma nie wierzyć swoim świętym Opiekunkom dziś, gdy jej zwiastują ciężkie doświadczenie, jakże to wytłumaczyć, że wierzyła im wczoraj, gdy zapowiadały triumf? Teraz Joanna wie już dlaczego została przy królu... Jej misja nie została ukończona. A może się dopiero zaczęła?...” (str. 264 n.).

Odruchowo rzucone „fiat voluntas tua“, nie było jednak w praktyce łatwe do wykonania. Gdy Joannę, wziętą pod Compiègne do nie-

wolf, zbitą, poranioną, zohydzoną słowami, wtrącono do więzienia, długie chwile samotnego oczekiwania na dalsze losy, poczęły coraz bardziej kruszyć jej wolę, aż wreszcie doprowadziły nawet do chwilowego załamania. Okazję do niego dały odwiedziny Bolesty, który zdradził jej możliwość ucieczki z więzienia, a nawet przyrzekł służyć sam pomocą. Pokusa była tak silna, że wywołała w duszy Orleanki najboleśniejszą ze wszystkich dotychczasowych walkę wewnętrzną.

„W uszach głos jakiś wołał: „Joanno! Joanno!”, ale ona starała się wmówić w siebie, że nic nie słyszy... Jakież pociągającą była ta pokusa ucieczki! A przecież pamiętała aż nadto dobrze obietnicę świętych Opiekunek, które ją zapewniały, że w Compiègne nic nie grozi. Więc może nie powinna uciekać. Ale dlaczego? Dlaczego nie miałyby zsunąć się z wysokiego muru...? Jej ucieczka nie jest żadnym szaleństwem. Chce wracać do walki, która ją czeka... ale równocześnie, jak uderzenie bicia, które zmuszają konia do szybkiego biegu, podniecały ją słowa Bolesty: „książę wyda cię Anglikom”. Boję się! Boję...! — szepcą zbladłe w nagłej trwodze usta... nie wzywa Głosów, jak zawsze zwykła była czynić w każdej chwili męki i trwogi. Wydaje się, jakby po raz pierwszy straciła do nich zaufanie. Nie, to nie po raz pierwszy. Często, może nawet zawsze, gdy przychodzili do niej ze straszliwym rozkazem... budziła się w jej sercu pokusa, aby zagłuszyć w sobie ich słowa... Poprzednio umiała te pokusy w sobie zwalczyć. Gdy przychodziło wezwanie, z pokorą zniżała głowę i szeptała: „otom ja służebnica Pańska”. Ale dziś pokusa ma siłę niezwykłą... Trwoga i niepewność, zwierzęcy strach i niepokój... Więc niech lepiej nie mówią Głosy w tej chwili... bo wie z całą pewnością i z całą stanowczością, że gdyby się odezwały w tej chwili, kazałyby jej zostać... Siadła na oknie jak na siodle... Ręce nerwowo drżą, głowę ogarnia zawrót... siedząc na zrębie murów, zaczyna rozumieć, czego od niej chciały Opiekunki. Więc męka była już postanowiona? One żądały, by szła ku niej dobrowolnie. Czyż można tego wymagać od człowieka? Sam Bóg wahał się w Ogrojcu i prosił, aby odstąpił od Niego kielich goryczy. Ale ona nie jest Bogiem. Jest zwykłą dziewczyną, która się lęka ognia i cierpienia... Cisza szepce jej słowa ostrzeżenia. Joanna czuje jak jej opór słabnie. Ciężko jest wymknąć się z rąk Boga! Szybkim ruchem przerzuciła nogi w pustkę... Już się stało, nie cofnie się, chociaż wie, że będzie swego postępu żałować... Czy potrafi wrócić do Łaski, której głos usiłowała zagłuszyć? ...Boże — szepnęła. Szalona była chcąc uciekać. Bóg żądał od niej, aby została i aby wypita podany kielich razem z Nim. Dzisiejsza noc jest nocą Ogrojca. Pan sam przyszedł, aby dzielić z nią ucztę boleści. Dla niej jednej powtórzył tamtą Ofiarę. A ona widząc kielich, wyrzekła: „niech odejdzie”... Palce same rozkwierają się. Lecz Joanna wie, że choćby teraz nawet stanęła bez szkody dla siebie na ziemi — już nie ucieknie. Dokonała się ofiara. Może już wrócić kielich. Może przyjść męka. Niech się stanie Twoja wola... Z rąk ucieka sznur. Joanna leci w czarną głąb, śledząc szeroko rozwartymi oczami spojrzenie Oczu, które na nią patrzą pełne litościwego miłosierdzia...” (str. 289 nn.).

Tak więc Joanna musiała w pierw przejść cierpienia Ogrojca, by dopiero jej wola poddała się całkowicie i bez zastrzeżeń woli bożej. Gdy się to stało, weszła w ostatni, najczarniejszy etap swego życia publicznego.

„Zamknięta w celi (angielskiego więzienia), skuta łańcuchami, a na noc przywiązywana na dodatek łańcuchem do łoża, tak, że nie mogła się nawet obrócić, strzeżona przez trzech żołnierzy... narażona na ich obelgi, sprośności, a nierzadko także próby gwałtu... karmiona stęchłą strawą, pozbawiona jakiegokolwiek pociechy, oszukiwana nawet przez rzekomego spowiednika nie będącego w rzeczywistości księdzem... Nie mogła się myć, zarastała brudem, który ją męczył i drażnił. Rzuciło się na nią robactwo... A jeszcze... do niedawna przez cały miesiąc trzymano ją w żelaznej klatce, w której nie mogła się nawet położyć...” (str. 304 n.).

Znacznie gorsze były jednak cierpienia moralne zadawane Orleance, w czasie długiego przewodu sądowego, przez trybunał duchowny z biskupem Beauvais Cauchonem na czele. Pytania sędziów pełne złośliwości, podstępny oraz zjadliwej ironii, mogły nawet najzdrowszego i pełnego sił mężczyznę przyprowadzić o szaleństwo. Ponadto groźbą spalenia na stosie, skłoniono ją w sposób podstępny i oszukańczy do podpisania rzekomego aktu zgody na porzucenie stroju męskiego, — aktu, będącego w rzeczywistości aktem odwołania i potępienia wszystkiego, cokolwiek dotychczas mówiła i czyniła.

„Joannie przeczytano cztery krótkie wiersze i kazano się na nie zgodzić. Zażądano, aby podpisała. Podpisała papier, który jej podano, ale to był drugi traktat, inny zupełnie niż ten, na który się zgodziła, traktat, w którym nazywała Głosy diabelskimi, a swoją służbę... pokusą szatańską. Dziewczyna następnego zaraz dnia po swoim odwołaniu, obudziła się cała złamana... Miała wrażenie, że ciężki głaz... legł na jej życiu. Dławił ją. Dusił... Przegrała swą przeszłość. Przegrała dni chwały, przegrała dni męki. Wyrzekając się stroju męskiego, wyrzekła się symbolu swej misji...” (str. 312).

Był to u Joanny kulminacyjny punkt w walce między ludzką, a nadprzyrodzoną łaską — punkt, w którym Bóg wydając Dziewicę na najcięższą próbę, obnażył niejako całkowicie i ukazał w całym realizmie słabość jej ludzkiej natury, zdanej na własne tylko siły.

„Kiedyś w porywie nieugaszonego pragnienia — postanowiła rzucić swe życie na szalę. Ale gdy (w wyobraźni) ujrzała stos, u którego stóp stał kat z płonąca pochodnią, załamała się. Jej ciało... ogarnął lęk. Boję się — szeptały usta. Boję się — drżała skóra, jakby ją już dotykał płomień... Niełatwą jest rzeczą uczynić ofiarę życia. Ale oddanie tego życia — wykonanie ofiary — to rzecz straszna, przed którą buntuje się cała natura...” (str. 312 n.).

W tym strasznym momencie Bóg pozostawił ją samą sobie:

„Głosy milczały. Rzeczy można ucichły i odbiegły, wprowadziwszy ją w uliczkę bez wyjścia. Bóg nie mówił w cierpieniach nocy przez usta swych świętych. Bóg umilkł i skrył się w mroku. Otoczyła ją pustka. Teraz była sama naprawdę! Bóg starał się, przeciwnie, trwać przy jej wrogach. Zaden cud nie targnął ich sumieniami. Zaden głos wewnętrzny, nie naruszył ich zawziętej woli...

Oni chwalili się, że sam Bóg wydał ją w ich ręce... Była sama na brzegu potępienia... Lęk perlił się... na jej czole, a serce waliło rozpaczliwie prędką kołataniną. Słowo „Jezus” marło na jej ustach, choć budziła się codzien z nim i codzien z nim zasypiała... Powtarzała tylko uporczywie to jedno słowo, jak żebrak wypowiadający monotonnym głosem wezwanie o litość... Powtarzała słowo „Jezus” i mówiła: „bądź woła Twoja”. Wołała w pustkę, jak woła: „mamo!” biedne, zbląkane dziecko. Obok niej piekło dyszało żarem... Jakiś wysoki pół-męski, pół-kobięcy głos wyspiewywał bez końca: „potępiona! potępiona!” (str. 313 n.).

I dopiero wówczas, gdy pozostawiona własnym siłom własna jej natura zawisła bezradnie w pustce, między niebem a ziemią, — gdy znalazła się u progu całkowitej beznadziejności i odczuła do głębi opuszczenie jej przez Boga, — dopiero wówczas Bóg nagle podniósł ją znów w górę swą nadprzyrodzoną mocą, pod której wpływem przedzieliła się od razu w zupełnie nową istotę.

Zaczęło się od rzeczy pozornie drobnej. Ci, którzy niegdyś podstępem zmusili ją do zrezygnowania ze stroju męskiego, teraz postanowili ją również podstępem zmusić do złamania danego na piśmie przyrzeczenia. W nocy zabrali jej strój kobiecy, a podłożyli dawny strój męski. Zbudziwszy się rano, Joanna była w pierwszej chwili oszłomiona i zakłopotana. Nie mając jednak innego wyjścia, wdziała ubiór męski. I nagle

„...dawne twogi gdzieś znikły... Zahuczał korytarz szybkimi krokami oraz krzykiem. Lecz ona siedziała nieulekła... Bo nagle doszedł ją z daleka cichy Głos i dla innych niedostyszalny, a przecież głuszący wszystkie zewnętrzne dźwięki. Brzmiał w jej sercu wołaniem mocnym i śpiewnym, jak sygnał bojowy. Rozparł jej duszę poczuciem triumfu. Zbudził w niej wiarę i postawił ją na nogi. Ożywił starte w męce siły. Podniósł ją z prochu i porwał za sobą. Wołał: idź, córko Boga, idź! — Idę — odrzekła równie mocno, choć cicho” (str. 315).

I poszła na stos, który ją niegdyś tak przerażał. Tym razem jednak poszła pełna spokoju i odwagi. Bo nie była sama. Był z nią teraz również Ten, który ją umacniał. A poszła zupełnie inaczej, niż poszedł Hus.

„Kiedy już ruszyć się nie mogła (przywiązana do słupa) zwróciła tylko głowę w stronę prawej trybuny i popatrzyła w szare zle oczy (kardynała) Winchestera. Mierzyli się tak chwilę spojrzzeniami, aż Joanna rzekła: — Przebaczam wam... I znowu powiedziała: — Przebaczam... Coś jakby uśmiech delikatny,

łagodny pojawił się na jej ustach. Bo razem z dźwiękiem dzwonów sływał w jej uszy głos, — głos potężny, brzmiący jak chorał triumfalny i radosny, zwycięski i mocarny, — głos obietnicy, której z niecierpliwością oczekiwała — głos, którego echo tylko dotychczas słyszała. Głos jedyny, który budzi z martwych i z nicości. Głos Boży" (str. 318 n.).

Kontrast między mistrzem z Husińca a Joanną, rzuca się od razu w oczy. Tam, ze stosu brzmią groźne słowa psalmu, wzywające pomsty bożej na sędziów, — tu dochodzą z niego łagodne słowa przebaczenia, skierowane pod tym samym adresem.

II.

JEREMIASZ

Podczas gdy w „Dwóch stosach“ Dobraczyński tylko przygodnie podejmuje próbę odtworzenia po literacku tajemniczych dróg, jakimi łaska boska prowadzi człowieka, którego powołała do spełnienia misji publicznej, to w „Wybrańcach gwiazd“, bierze już specjalnie ten temat na swój warsztat powieściopisarski. Pragnie go omówić już nie tylko szkicowo, ale gruntownie i szczegółowo; pragnie nie tylko pogłębić analizę przeżyć psychicznych człowieka pozostającego pod działaniem łaski, nie tylko związać te przeżycia w bardziej jednolitą logiczną całość, ale ponadto uwzględnić w nich jeszcze konflikty, do jakich prowadzi starcie się łaski boskiej z naturą ludzką z racji społecznego charakteru tejże natury, wrosniętej zawsze w jakiś konkretny ród, plemię, czy naród.

Widnokraż boży jest z istoty swej szerszy niż widnokraż ludzki. Bóg myśli kategoriami wieczności, człowiek tylko kategoriami czasu; Bóg ogarnia swą myślą cały świat, człowiek tylko znikomą jego częścią. Miłość boża jest nieskończenie szeroka, miłość ludzka z natury swej zacieśniona do określonych granic. Stąd nie dziw, że współdziałanie Boga z człowiekiem, zmierzające do jednego i tego samego celu, musi z istoty swej wywoływać w człowieku specjalne napięcia wewnętrzne, dopokąd jego natura wspomagana boską łaską, nie zdoła się przedrzeć poprzez granice przestrzeni i czasu.

Tych właśnie napięć nie uwzględnił Dobraczyński prawie zupełnie w historii Joanny d'Arc, wskutek czego zbyt niejasno wystąpił też uniwersalny charakter jej misji, a zbyt silnie wybił się na plan pierwszy indywidualny, osobisty moment w jej wewnętrznych przeżyciach.

Uwzględnia je więc teraz przedstawiając w „Wybrańcach gwiazd” historię proroka Jeremiasza — człowieka, który jako pomost rzucony przez Boga między nacjonalizmem żydowskim a uniwersalizmem chrześcijańskim, specjalnie nadawał się na postać literacką, uosabiającą walkę ponadczasowej i ponadprzestrzennej łaski nadprzyrodzonej, z zacieśnioną do granic przestrzeni i czasu, naturą ludzką.

Powołanie Jeremiasza na proroka, przyszło nagle i niespodziewanie. Co więcej, dokonało się nie tylko bez jakiegokolwiek udziału jego woli, ale nawet wbrew niej.

„Dzień był wtedy... gorący i pogodny. Pamiętał, że siedział na skale... Jego wzrok śledził idące dziewczęta, zwłaszcza Sarę... która, wiedział, że będzie jego żoną. Ale gdy ludzie odeszli — posłyszał Głos. Rozejrzał się niespokojnie. Chciał zobaczyć tego, kto mówi. Nie zobaczył nikogo... Sądził, że mu się przewidziało, ale Głos odezwał się znowu. Wtedy zerwał się na nogi i uciekł szybko. Nie chciał słuchać tego, co mu Głos powie. Wolał być znowu wśród ludzi, wśród dziewcząt... Zdawało mu się, że uszedł Głosowi. Ale on odezwał się znowu, gdy stał któregoś dnia samotnie na tarasie świątyni... Znowu posłyszał słowa, które miały moc wtrącania w przerażenie i rozpacz. Nie wiedział gdzie, uciekać. Cofnął się w kąt tarasu, zasłonił twarz dłońmi. Powiedział: „Nie, nie, jestem jeszcze dziecko, nie umiem mówić... Nie!” Ale Głos nie próbował się z nim targować. Nakazywał. Kiedy syn Helkiasza opuszczał taras, wiedział już, że nie będzie po ojcu arcykapłanem, że nie ożeni się z Sarą, że nie dotknie już ciała żadnej kobiety, że nie będzie pił wina... natomiast będzie musiał mówić słowa przerażające... Tego dnia Głos mówił przez jego usta, mówił tak, że słyszeli wszyscy. Wołał o wielkich grzechach, jakich dopuścił się Izrael, i o karze, jaką poniósł. Chętnie straciłby z ramienia dłoń Głosu. Ale Głos był przy nim” (str. 59 n.).

Nie łatwo było Jeremiaszowi pogodzić się z wolą boską, wybierającą go na proroka. Nie skończyło się na pierwszym, naturalnym odruchu protestu i oporu w samym momencie powołania. Bunt ludzkiej natury przeciwko boskiej łasce trwał nadal, trwał przez czas długi, przybierając nawet coraz bardziej na sile. Buntowała się przede wszystkim cielesna strona natury proroka, rozumiejącego, że wyniesienie go przez Boga ponad szary tłum ludzki, pociąga za sobą odseparowanie go od ludzkiego społeczeństwa, skazanie go na pustelnicze życie anachorety w skalnej jaskini w Anatoł, na całkowite osamotnienie, mimo przebywania i działania wśród ludzi.

„Buntował się. Gniewnie krzyczał w pustce skalnej w białe, gorące noce, gdy spać nie można, gdy ręka sama szuka obok siebie drugiego ciała. Dlaczego ma być sam?... Dlaczego Głos powiedział: nie będziesz miał ani żony, ani synów, ani córek?... W każdym domu człowiek zasypiał przy człowieku, w każdym domu była miłość dwóch serc. Tylko on był sam! Sam z gwiazdami — i z Głosem! Zrywał się, zbiegał po stromym zboczach, szedł między domy... Wędrował przez

poła i łąki... postanowił uciec. Miał już dosyć wołań Głosu... poszedł w góry... wdzierał się bez lęku na skalne ściany Nebo. Tu go zaskoczyła burza... Zmęczony i mokry rzucił się na ziemię. Miał uczucie, że nareszcie uciekł... ale nagle wśród gromów... posłyszał znane sobie wołanie. Włosy powstały mu na głowie z przerażenia. Przywarł do ziemi... jakby myślał, że uda mu się w ten sposób ukryć. Zdawało mu się, że słyszy: „Jeremiaszu!” Nie śmiał milczeć. Łamiącym się z trwogi głosem odpowiedział: „Owom ja...” Rano opuścił jaskinię... mówił do siebie: „już nigdy więcej nie będę uciekał... (str. 60 n.).

Przez pewien czas — nawet dość długi — wydawało się Jeremiaszowi, że przezwyciężył siebie już na zawsze, że walka z własnym „ja“ ukończona, że zdołał bez reszty poddać swą wolę — woli boskiej. W przeświadczeniu tym umacniała go świadomość, iż Bóg zrekompensował mu niejako jego osamotnienie, pozwalając zyskiwać coraz większe poważanie i sławę u współziomków.

„Lata całe cieszył się swą sławą. Upominał, a drżano przed nim. Pojął, że jeśli Głos zepchnął go w samotność i oderwał od ludzi, to dał mu przecież moc panowania nad ludźmi. W pałacu królewskim był Jozjasz, lecz w jaskini Anatot był Jeremiasz. Jozjasz panował nad ludem wszechwładnie, ale Jeremiasz upominał Jozjasza i nakazywał mu posłuszeństwo” (str. 62).

Spokój był jednak tylko przejściowy i pozorny. Niespodziewanie nadszedł moment wielkiego wstrząsu duchowego, rozpoczynającego nową, cięższą jeszcze niż poprzednia walkę w duszy proroka. Wstrząs wywołała klęska, jaką w walce z Egipcjanami poniósł pod Megiddo (608 przed Chr.) żydowski król Jozjasz, ginąc sam z ręki nieprzyjaciół. Jeremiasz zdawał sobie sprawę z tego, że jako doradca króla jest on właściwie moralnym sprawcą klęski. Idąc za nakazem przemawiającego przezeń Głosu, nawoływał przecież przez lata całe do walki z Egiptem, ziemią bałwochwalstwa, bezwstydu i niesprawiedliwości; przepowiadał bez zastrzeżeń upadek państwa faraona, przekonany osobiście, że jeśli Bóg każe mu głosić walkę z Egipcjanami, to chyba tylko w tym celu, by użyć narodu wybranego jako młota do skruszenia potęgi pogan. Tymczasem skończyło się klęską Izraela i śmiercią wielkiego króla-reformatora. Gorzki zawód na całej linii, połączony z całkowitą utratą zaufania u współziomków. Nie to jednak bolało przede wszystkim Jeremiasza, iż czyniono go winnym klęski, nawet nie to, że patrzono nań z gniewem i zawiścią, nazywając drwiąco fałszywym wieszczkiem. Najsilniej bolało go to, że przy całym poczuciu swego powołania prorockiego, sam stanął teraz nagle przed nierozwiązalną zagadką.

„Dlaczego tak się stało?... Nie wiedział co ma odpowiedzieć... Sam siebie o to pytał i pytał o to Głos. Ale Głos milczał, on zaś czuł, że nie potrafi bez jego

pomocy na to pytanie odpowiedzieć. Dlaczego Głos kazał mu wzywać lud do beznadziejnego boju? Czyżby Głos kłamał? Nie! nie! Głos napewno nie skłamał. I nie był złudzeniem. Lecz w takim razie, czy to znaczy, że on słów Głosu nie pojął?" (str. 62 n.).

Rozdarty wewnętrznie uciekł do swej pustelni w Anatot, pełen goryczy.

„Padł na twarz i począł łkać... Modlił się: „Dlaczego Panie? Dlaczego nie dałeś mi zrozumieć Twoich słów? Dlaczego ta klęska? Czy to ja jestem jej winien?... Dlaczego pozwoliłeś bezbożnikom triumfować nad nami?” — Ale nikt mu nie odpowiedział. Z rozpaczą począł krzyżeć: „O ja nieszczęsny... Dlaczego mi nie chcesz odpowiedzieć Panie?” (str. 63).

Był to jednak dopiero wstęp do walki wewnętrznej, jaka go czekała, walki między bezwzględny zaufaniem ku powołującemu go i kierującemu nim Bogu, a wszczepionym weń przez całe poprzednie pokolenia, przywiązaniem i miłością do własnego narodu, używanego za naród specjalny, ukochany i wybrany przez Boga. Sama walka zaczęła się w chwili, gdy nowy król żydowski Joachas, wyciągnąwszy go niemal siłą z pustelni w Anatot, zażądał od niego rady w sprawie obecnego ustosunkowania się Izraela do faraona, który właśnie nadesłał posłów proponujących przymierza z Egiptem. W świetle zdrowego, naturalnego rozumu, zgoda na przymierze wydawać się musiała w tych warunkach każdemu jedyną roztrofną drogą wyjścia. A jednak prorok stwierdził ze zdumieniem, że mimo klęski pod Megiddo, nie potrafi i teraz inaczej radzić, jak tylko nawołując do dalszej walki z Egipcjanami. Uświadomił sobie, że działająca w nim przemożna, wyższa siła nakazuje mu, wbrew wszelkiej logice, nie zbaczać z dotychczasowej drogi, lecz rzucać dalej gromy na bałwochwalczy Egipt. Po raz pierwszy postawił więc sobie jasno pytanie: czyżby istotnie Jahwe nakazywał beznadziejną walkę z Egipcjanami po to, by w niej złamany został również sam lud izraelski? Czyżby ją nakazywał właśnie dlatego, by zniszczyć lud dotychczas wybrany, karząc go w ten sposób za sprzeniewierzenie się zawartemu niegdyś przymierzemu? Czyżby zerwał Bóg przymierze z Izraelem i przekreślając jego wybraństwo, używał go teraz już tylko jako zdzierającego się w walce narzędzia do zniszczenia pogan? Prorok bronił się jak mógł przed tą myślą. Wróciwszy do swej jaskini, upadł na kolana,

„...podniósł ręce nad głową i jęcząc począł mówić: „Nie tak, Panie, nie tak... Miej litość”. Ale modlitwa zastygła mu na ustach... Był ostatecznie złamany. Pragnął tylko jednego: spać. spać, zapomnieć o wszystkim” (str. 70).

Ale zamiast zapomnienia, przyszło z góry raczej potwierdzenie; rodzącego się w głowie proroka, a odsuwanego przezeń usilnie, przypuszczenia. Potwierdził je Głos, który znów się w nim odezwał — i nie tylko potwierdził, ale co więcej, obarczył proroka nową, uciążliwszą jeszcze misją. Jeremiasz, obowiązany dotychczas jedynie do przestrzegania ludu i nawoływania go do poprawy, otrzymał teraz wyraźny nakaz głoszenia odtąd temuż ludowi nieuchronnej jego zatury z rąk pogańskich nieprzyjaciół — zatury mającej być z woli bożej karą za przeniwierstwo Izraela i łamanie przezeń przymierza zawartego na Synaju. I jedna jeszcze rzecz w tym nakazie misji była nowa: prorok dowiedział się, że zatury Izraela przyjdzie nie o dstrony Egiptu — jak się spodziewał — lecz od nowo-powstałego właśnie królestwa babilońskiego. Misja przechodziła siły proroka, jako członka wybranego narodu. Toteż nie dziw, że skoro tylko o niej usłyszał:

„Twarz wykrzywiła mu się, okrzyk przerażenia wydarł się z jego ust... krzyknął: Nie, Panie! Nie! Nie! — I tak jak stał, poczał biec. Minął Anatot... wędrował dalej na północ, ogarnięty paniką. Nie myślał gdzie idzie. Wiedział tylko, że nie może słuchać słów, które doń zostały wyrzeczone, że nie będzie ich słuchał i nie będzie ich prosił. Brzemie przekraczało jego siły. „Wybierz sobie, Panie, innego proroka... — szeptał półprzytomnie — a mnie daj daj odejść. Nie chcę niczego innego, tylko daj milczeć”. Późnym wieczorem dotarł do Jericho... rzucił się ciężko na posłanie z suchych traw. Ale o świcie zbudził go Głos, który znowu w nim wówił przerażające słowa.. Zerwał się od razu spieszenie... powędrował dalej na północ. Znowu uciekał przed Głosem, uciekał rozpaczliwie i zawzięcie. Na trzeci dzień znalazł się nad jeziorem Kinnereth” (str. 70 n.).

„...Wiedział, że to czego się lękał było w nim i tego zgubić nie był w stanie... a mimo to uciekał. Przebiegł całą ziemię Kanaan... aż po Hermon, jakby mniemając, iż gdzieś wreszcie znajdzie kres pościgu. Na próżno! Nielitościwy łowca leciał wciąż za nim... Na wyiskrzonym, białym grzbiecie górskim... przekonał się, że Głosowi nie ujdzie. Nie mógł mu ująć, gdy Głos chciał mówić przez jego usta, nie mógł mu ująć także, gdy Głos zażądał, by mówił rzeczy okrutne, bolesne, wtrącające w rozpacz. Słowo Pańskie zabrzmiało nielitościwie. Dotychczas kazano mu ostrzegać, upominać, grozić. Ale nigdy... nie stanęła przed oczyma Jeremiasza równie wstrząsająca wizja tego, co się stać musi. To już nie było ostrzeżenie, to był los. Cóż z tego, że... skryje się w ciemny... wawóz Ijonu. Świadomość nieodwołalnego wyroku... pójdzie za nim... Wszystko stało mu się nagle obojętne... Czekał... Nie kazano mu długo czekać. Zagłuszany Głos rozległ się nad nim z taką siłą, że Jeremiasz zerwał się na nogi... Głos mówił mu, a Jeremiasz powtarzał jego słowa chrapliwie, z jękiem i lamentem... Ciało proroka ogarnęła gorączka. Rozpaczliwym wysiłkiem wydarł się z więzi Głosu. Wyjęczał: „nie, Panie, nie! tak się nie stanie”... Płakał... jak płacze przerażone dziecko. Znowu musiał mówić: „choćby stanął Mojżesz i Samuel przede Mną, nie mam serca dla tego ludu. Odpędź ich! Niech idą sprzed oczu Moich!...” Wcisnąjąc

palce w usta i gryząc je do krwi, przerywał sam sobie jękiem: nie, Panie, to jest pokusa... spraw, niech odejdzie! Tak się nie stanie! Tak się stać nie może!" Ale obrazy, które widział i które musiał opowiadać, nie znikły... Znowu się w nim zbudził straszliwy bunt... Zaciśnął pięści, zawołał: „nie! nie! nie!" — i nagle skończył przed siebie w przepaść... Lecz gdy tak leciał, zdało mu się, że niewidzialna dłoń chwyciła go za włosy i zatrzymała w locie. Miękkie zbocze wyrosło pod nim. Padł w puch śnieżny i potoczył się po nim. Kiedy się zatrzymał, czuł, że żyje. Siadł i począł płakać; tym razem cicho... Obojętnie oczekiwał nadejścia Głosu... Mimo to dźwignął się na nogi, gdy Głos się odezwał. Ze zdumieniem usłyszał twardy, ostry nakaz: „wstań i idź!..." Podniósł swój kij z ziemi. Poszedł w dół..." (str. 85 nn.).

Choć i tym razem Pan odniósł zwycięstwo, nie oznaczało ono jednak jeszcze całkowitego poddania się woli Jeremiasza — woli bożej. Potrzeba było do tego dopiero trzeciej, jeszcze dłuższej i cięższej niż poprzednie, walki: walki o wiarę, o zaufanie w prawdziwość słów Pańskich, a nawet o samo przeświadczenie o rzeczywistości faktu przemawiania Pana. Gdy w krótki czas po opisywanym wyżej drugim przełomie, prorok w noc księżycową patrzył ze stoku góry oliwnej na ukochane Jeruzalem i bielejące w dali mury świątyni,

„...obudziły się w nim wątpliwości, czy prawdą były owe wizje, które ujrzał na Hermonie. Przybytek Pański... miał tyle w sobie świętości i nadziemskiej potęgi, że trudno było uwierzyć, aby mógł paść ofiarą rąk ludzkich..." (str. 92).

Wątpliwości te nie opuszczają odtąd Jeremiasza przez całych lat dwadzieścia, nawiedzając go coraz częściej, budząc się coraz silniej i dręcząc coraz dotkliwiej. Udręka proroka jest tym większa, że kierujący nim dotychczas Głos, milknie całkowicie na przeciąg owych dwudziestu lat. Daremnie wyczekuje go prorok: Pan nie odzywa się doń, pozostawia go wyłącznie własnym siłom, jak gdyby chciał wypróbować jego wiarę.

„...Od dawna odeszły odeń chwile lęku przed samotnością, owe przerażające chwile ucieczki przed Głosem. Głos, niegdyś towarzyszył nieodstępny, dziś zgaś i zamilkł. Próżno Jeremiasz wysiłał starcze uszy. Słyszał tylko brzęk pszczół i szum palm... Daremnie tęsknił za tamtymi przeżyciami. Od lat żył wyczerpany, tak tylko, jak żyli wszyscy inni ludzie. Pan nie przemawiał do niego. Na... okropnych wizjach... zamknęła się mowa Pańska. Pozostał tylko z echem wypowiedzianych słów. Nikt nie znał jego tajemnicy, tajemnicy pustki... Często ogarniało go zniechęcenie i pragnienie śmierci. Czuł się kimś niepotrzebnym... Cóż wart prorok, który nie prorokuje?... Mając słowa Pańskie w ustach, nie znał wahania ani lęku. Żył jednym wielkim porywem... Aż przyszedł dzień trwogi wobec słów, które kazano mu głosić... Od tamtego czasu żył stale obawą i niepewnością: obawą, że słowa, które mówi, nie są słowami Prawdy, — niepewnością, że mówiąc sam do siebie, może kłamać słowem Pańskim" (str. 170).

Zrodzone pod działaniem czynnika emocjonalnego, mianowicie pod wpływem uczucia miłości ku ojczyźnie i świętemu Jeruzalem wątpliwości Jeremiasza poczęły się jeszcze powiększać i utrwałać, gdy do motywów emocjonalnych dołączyły się motywy czysto rozumowe tj. gdy prorok pozostawiony jedynie samemu sobie, począł drogą czysto rozumowych refleksji dopatrywać się braku wszelkiej logiki w tym, co mówi do niego Pan i co pod wpływem słów Pańskich on sam głosi. Ów rzekomy brak logiki dojrzał po raz pierwszy jasno w trakcie rozmowy z babilońskim królem Nabuchodonozorem, do którego wiedziony potrzebą serca, przybył błagać o litość nad narodem izraelskim i oszczędzenie świętego Jeruzalem. Gdy Jeremiasz zwrócił się do króla ze słowami prośby, ten patrzył przez pewien czas w milczeniu na proroka, a potem rzekł:

— Nie mów mi o litości Jeremiaszu. Nie broń Jerozolimy. Przecież... to wasz Jahwe kazał mi być mieczem karzącym... Tak mi mówileś.

— Tak! — wykrzyknął Jeremiasz — tak! Sprawiedliwość Pańska żąda pomsty. Lecz, Nabuchodonozorze... Pan zna także litość i miłosierdzie... daje się ubłagać.

Król zachichotał cicho i szyderczo.

— Litość, miłosierdzie? Bogowie nie są miłosierni. Bogowie są tylko sprawiedliwi...

Jeremiasz odpowiedział gwałtownym wybuchem.

— Mylisz się Nabuchodonozorze, Jahwe gniewa się na swój lud, ale nie chce jego śmierci. Nie przestał go kochać.

Król wybuchnął śmiechem:

— Słuchaj proroku, mówimy między sobą. Rozumiemy się. Chcesz oszukać swego Jahwe... Nie wstydz się — szeptał — ja robię to samo... może nie mam racji? Ja oszukuję bogów i ty chcesz ich oszukiwać. Obaj pragniemy, by bogowie naszą pełnili wolę, nie my ich... bogowie są w nas, nie gdzie indziej. I to tylko potrafią zrobić, co my za nich zrobimy..." (str. 164 nn.).

Oburzył się wówczas Jeremiasz, oponował, zaprzeczał, zarzucał królowi bluźnierstwo. Ale z biegiem czasu, im dłużej pozostawał zdany na własne siły i opuszczony przez Głos, tym częściej przypominał sobie słowa królewskie, tkwiące w jego pamięci niby bolesne żądło, i tym bardziej chwiała się jego wiara we własne prorockie posłannictwo.

„...Miał słuszność Nabuchodonozor (m y ś l a ł) drwiąc zeń, że chce uchylić wolę Jahwy. Skoro bowiem to, co ujrzał przed laty, miało się stać nieuchronnie, jakiz był cel zabiegania o łaskę babilońskiego króla, i jaki cel w nawoływaniu ludu judejskiego, by uznał władcę Nabuchodonozora? To były tylko jego słowa, jego własne. Głos mu ich nie podszeptował. Jeremiasz nie mógł powiedzieć: Pan

mówi, Pan każe, ale pozostawało mu tylko przekonywać po ludzku żałosnymi słowami rozsądku, że inaczej być nie może, że jeśli Jerozolima nie potrafi ugłaskać gniewu Nabuchodonozora, to ten przyjdzie i wymorduje wszystkich... Samotność, w której rozlegał się Głos, przerodziła się w samotność nie kończącej się rozterki. Niewypowiedziana męka pozostania z własną słabością, łamała serce człowieka..." (str. 171 n.).

Wspomnienie rozmowy z babilońskim władcą odświeżało się w pamięci proroka zwłaszcza pod wpływem zarzutów czynionych mu przez współziomków. Już od klęski pod Megiddo poczęto tracić do niego coraz bardziej zaufanie. Dawaty się słyszeć tu i ówdzie głosy, iż jest „falszywym wieszczkiem“. Teraz jednak, gdy z jednej strony sprzeciwiał się jakimkolwiek paktom z Egiptem, a z drugiej wprost nawoływał do uległości Babilonii, nazwa „falszywy wieszczek“ przyłgnęła już doń na stałe, powtarzana powszechnie. Co więcej, zarzucano mu wyraźnie zdradę własnego narodu, posądzano go, iż pozostaje na żołdzie u babilończyków, przekupiony przez ich władcę. Zarzuty te były dla Jeremiasza nad wyraz bolesne. Ale boleśniejsze jeszcze było, że podsuwały mu one ustawicznie myśl, iż to, co dotychczas uważał za powołanie prorockie, jest w gruncie rzeczy jedynie rachubą polityczną — że to co uważał za boże słowo, było i jest tylko jego własnym, ludzkim słowem.

„...Falszywy wieszczek! Przed dwudziestu laty rzucono mu to w twarz po raz pierwszy. Był przecież tak pewny, że to Pan kazał mu stanąć wówczas pod Megiddo przeciwko przemocy (f a r a o n a) Nechao. A jednak nic nie potwierdziło tej pewności. Przez dwadzieścia lat Głos milczał. Jeremiasz został sam, z coraz silniej chwiejącą się pewnością, szarpany coraz ostrzejszymi wątpliwościami. Nie było żadnych rozsądnych przyczyn, dla których on, który wołał: walczycie z Egipcjanami choć od was są silniejsi, teraz miał wołać: nie próbujcie walczyć z Nabuchodonozorem, bądźcie mu poddani i posłuszni... Falszywy wieszczek... Ach, te dwa słowa leżały mu kamieniem na piersi..." (str. 195 n.).

Walka o zdolność uwierzenia we własne powołanie prorockie, w fakt przemawiania Pana i w prawdziwość słów Pańskich, poczynała się wydawać Jeremiaszowi coraz bardziej beznadziejną. Dotychczasowa jego wiara, pozostawiona samej sobie, pozbawiona poparcia w postaci nadprzyrodzonego Głosu, skoro tylko została wzięta pod obrztał czysto rozumowych argumentów, zaprowadziła proroka w rezultacie w ślepią ulicę konieczności rozumowego rozplątania nierozwiązalnej nigdy, bo związanej z samą tajemniczą istotą bożą, zagadki: w jaki sposób pogodzić boskie miłosierdzie z boską sprawiedliwością. Jako człowiek religijny, Jeremiasz uznawał jeden i drugi atrybut boski; jako myśliciel, stawał — jak wszyscy ludzie — przed antyno-

mią. Stąd rodziło się w nim coraz bardziej poczucie beznadziejności. Z jednej strony zdawało mu się, że prawdziwy prorok musi umieć pogodzić Boga miłosiernego z Bogiem sprawiedliwym; z drugiej strony wszakże uświadamiał sobie, że warunek ów przerasta siły ludzkie. Pytał więc, czy zasadniczo biorąc zwyczajny człowiek może w ogóle być kiedykolwiek prawdziwym prorokiem Pańskim? Czy do tego, by być prorokiem nie trzeba być nadczłowiekiem?

„Nabuchodonozor (m y ś l a ł) miał słuszność; kara musi nadejść! Lecz Jahwe miłosierny, jest łaskawy, nie chce zatury ludu wybranego... Czymże jest w tym wszystkim on sam, Jeremiasz? Nie jest królem, nie jest arcykapłanem... Ma być tym, który prostuje skrzywione ścieżki wybranego narodu. Takimi byli: Eliasz, Elizeusz, Izajasz... Ale oni może byli nadludźmi? Może to byli nie ludzie, ale cherubini?... Przecież by być powtarzaczem słów Pańskich... nie można być tylko człowiekiem... Jakżeż czynić rzeczy anielskie ludzkimi rękoma?... Przez lata... czynił z siebie twarde narzędzie Bożego gniewu. I dziś, gdy ma być niemiłosierny, gdy powinien być bez litości, dziś próżno walczy z oporem serca... Człowiek nie potrafi być wiecznie nielitościwym, wiecznie nie kochającym. Aniołowie może nie potrzebują kochać swych braci. Człowiek musi!... Mieli rację. Jest fałszywym wieszczkiem. Prawdziwy prorok byłby tę grzeszną bandę, ten lud zatwardziały... przeklął na wiele pokoleń!... Lecz czyż prawem proroków nie jest... odwoływanie się od bezlitosnej sprawiedliwości do miłosierdzia? Eliasz wskrzesił syna kobiety z Sarepty Sydońskiej... Elizeusz nakarmił dwudziestu chlebami stu mężów... Czy prorok jest jeszcze prorokiem, gdy krzyk o miłosierdzie zagłuszy w jego sercu wołanie o sprawiedliwość?...” (str. 199 n.).

Dręcząca niepewność, czy w prawdziwym proroku da się pogodzić poczucie sprawiedliwości z uczuciem miłości — czy prawdziwie głosi wolę Boga ten, kto łączy w Bogu sprawiedliwość i miłosierdzie i na oba się powołuje, — ta niepewność byłaby niewątpliwie całkiem zła-
mała Jeremiasza w ciągu długiego okresu całkowitego milczenia Głosu i zniechęciła go zupełnie do pełnienia danej funkcji proroka, gdyby nie trzy znamienne zdarzenia, w których Jeremiasz dostrzegł wyraźnie palec boży i potwierdzenie, iż Bóg jest wciąż z nim. Najpierw, gdy nieodstępny jego towarzysz, Baruch, był bliski śmierci z powodu ukąszenia przez żmiję, prorok w ostatniej rozpacz zwrócił się do Boga ze słowami: „Panie, jeśli chcesz bym był prorokiem, ocal dla mnie to życie“. I wówczas Bóg wysłuchał go (str. 115). — Powtórnie, zmarł nagle i nieoczekiwanie, jakby tknięty ręką bożą, Ananiasz, ubliżający publicznie Jeremiaszowi, gdy ten głosił zniszczenie Jerozolimy przez Nabuchodonozora (str. 192). Wreszcie, gdy prorok modlił się o miłosierdzie nad ludem zagrożonym klęską głodu z powodu długotrwałej posuchy, Bóg zesłał deszcz, zanim jeszcze dobiegły do końca

słowa modlitwy proroka (str. 201). Zwłaszcza ostatni wypadek wpłynął na znękanego Jeremiasza kojąco, wskazywał bowiem, że Bóg jest nie tylko sprawiedliwy, lecz również miłosierny.

Mimo wszystko, Jeremiasz był u kresu sił, gdy nagle znów odezwał się upragniony Głos i to odezwał dwukrotnie w przeciągu krótkiego czasu. Odezwał się po raz pierwszy, gdy prorok ukrywał się w domu garniarza Abeda przed czyhającymi na jego życie członkami stronnictwa pro-egipskiego, zbudził go w nocy, nakazując mu ostrzec arcykapłana Sarajasza o niebezpieczeństwie, w jakim ze względu na zbliżające się zdobycie Jerozolimy przez Babilończyków, znajduje się arka przymierza.

„...Jeremiasz obudził się nagle... coś, jakby wołanie spadło na niego w mroku nocy... Słowo usłyszane rozrastało się w nim w coś równie oczywistego, jak świat otaczających go przedmiotów... Głos, który się rozlegał, a Jeremiasz był pewien teraz, że to był Głos — urastał w nim ciągle nowymi rozkazami; nie wiedział, czego ostatecznie od niego zażąda. Ale to było niczym, wobec wstrząsającej rzeczywistości, „że Głos odezwał się znowu, i że prowadził go, zdejmując z jego bark ciężar myśli o tym, jak należy mu być posłusznym. Wahania czy wątpliwości nie istniały... Jeremiasz nie miał pewności, czy jest jeszcze sobą; jeżeli był nadal sobą, to jednocześnie była w nim moc kogoś drugiego, moc, która nie odejmując nic bezsilności starczej ciała proroka, odwracała zwykły stosunek siły i słabości. Przekonał się o tym, gdy skierował się ku bramie pałacu arcykapłana. Przed nią chodziło dwóch strażników... Jeremiasz szedł ku nim bezwolnie, jak bezwolnie płynie rzeka ku morzu... Żaden instynkt nie ostrzegał go przed niebezpieczeństwem... Minął ich, pozostawił za sobą ślepych i głuchych... Z nieomylną pewnością szedł do sypialni (a r c y k a p ł a n a) Sarajasza...” (str. 228 n.).

Gdy arcykapłan, zbagatelizowawszy ostrzeżenie proroka, zmusił go do odejścia z niczym, w drodze powrotnej Głos odezwał się po raz drugi, tym razem nakazując mu wykraść arkę ze świątyni i ukryć w miejscu bezpiecznym.

„...Rozkaz, który spadł na Jeremiasza powracającego od arcykapłana, równał się przekreśleniu wszystkiego tamtego (tj. przymierza zawartego na Synaju)... Ale rozkaz był silniejszy niż lęk. Był to znowu Głos oczekiwany i utęskniony. Czynił człowieka swoim narzędziem, nie bacząc na jego kruchość. Budził radość i przerażenie... Gdyby mu powiedział: bądź królem! — zwątpiłby w swoje uszy. Gdy mu powiedział: zabierz Arkę! — to ten straszny ból zadany jego sercu, był dla Jeremiasza dowodem, że słyszy naprawdę. Znowu nie wiedział, dlaczego ma tak właśnie uczynić, ale nie pytał się, nie śmiał pytać. Słowa: czyżbyś odrzucił lud wybrany? — zamarły mu na ustach. Od lat musiał postępować ciągle przeciwko własnemu sercu... Trzeba było być wykonawcą nieubłaganej Woli... Może więc naprawdę Pan wyrzekł się dawnego przymierza, tyle razy przez lud łamanego?... (str. 239 n.).

Gdy posłuszny Głosowi prorok wykradł arkę i ukrył ją bezpiecznie na górze Nebo, towarzyszących mu przy tym akcie ludzi

„uderzyła... dziwna zmiana w jego twarzy. Zwykle ponura i bolesna, miała teraz na sobie piętno spokojnej rezygnacji. Walki już na niej nie było. Los dokonał się, ten los, którego drogę od megidzkiego pola do tej pieczary pod szczytem Nebo, prorok widział jasno. Wyprostowany patrzył na szarzejącą w dali Judę...” (str. 242).

Ostatnia, najcięższa walka Jeremiasza, była zasadniczo zakończona. Jeszcze tylko na krótki czas padł jakby jej cień na duszę proroka i zamącił na chwilę spokój jego całkowitej rezygnacji — jego „fiat voluntas tua”. Stało się to, gdy Chaldejczycy, którzy podeszli pod Jerozolimę i już, już grozili atakiem na miasto, nagle odstąpili na pewien czas od niego, by się rozprawić z nadciągającymi wojskami egipskimi. Szał radości ogarnął mieszkańców Jeruzalem. Patrząc z domu Abeda na ten przedwczesny triumf, Jeremiasz

„nieruchomy i zeszytniały siedział na ziemi, z wzrokiem wlepionym w daleki horyzont, jakby czegoś stamtąd wyczekiwał... Milczał... Musiał milczeć: Głos, który na chwilę zmącił tyle lat trwającą ciszę, znowu nic nie mówił. Na nowo urastało w sercu tysiące goryczy i wątpliwności. Na nowo trzeba było podjąć wysiłek szukania własnej, przez siebie tylko wybranej drogi. Jahwe pozostawiał go samego w obliczu niespełnionych gróźb... Musiał przewalczyć swą słabość... Patrzył. Wbrew krzykom ludzi na ulicach, i bardziej jeszcze wbrew własnemu sercu, pojmował, że wróg wrócić musi. Głos nigdy nie kłamał, choć tak dziwnie dokonywały się zapowiedziane przezeń groźby. Triumf odejścia haldejczyków nie był żadnym triumfem... Jeremiasz pojmował to w jakichś rwanych błyskach, choć jednocześnie miał świadomość, że jest to rzecz nie do wyrażenia i prawie nie do pojęcia dla ludzkiego, prostego umysłu... Lecz jeśli się nawet nie mylił, to przecież to myślenie było nad siły i nad miarę wytrzymałości ludzkiej. Jeremiasz coraz częściej miał uczucie, że jest narzędziem, którym włada ręka silniejsza niż moc narzędzia... Gdy bezwzględny mus kazał mu być odkrywcą przyszłości, kruchość ludzkiego serca zmuszała go, by był także obrońcą teraźniejszości. Jego myśli związane były uporczywie z połyskującą gwiazdą. A jednocześnie nie przestawał myśleć, jak ocalić Jerozolimę — wbrew niej samej. Kilkakrotnie w czasie oblężenia... chciał wyjść z miasta. Nie dano mu! On, który miał w rękę obietnicę... króla (babilońskiego), nie miał możliwości o wypełnienie tej obietnicy prosić... Lecz obecnie sytuacja zmieniła się. Teraz niewątpliwie mógł wyjść z miasta, jak wychodzili inni ludzie...” (str. 259 n.).

W rzeczy samej, nie upłynęło wiele czasu, a babilończycy zawrócili i poczęli oblężenie świętego miasta. Jeremiasz doczekał jednak tej chwili już w więzieniu, do którego dostał się ujęty przez członków stronnictwa egipskiego, jako rzekomy szpieg babiloński, gdy chciał opuścić Jeruzalem. Proroka zbito, skatowano, znieważono, wreszcie

wrzucono do starej studni w nadziei, że albo rozbije się o jej cembrowiny, albo utopi, albo zginie z głodu. Pan, który dotychczas przez cały ciąg pełnienia misji prorockiej ratował stale Jeremiasza przed niebezpieczeństwami, grozącymi jego życiu, — który przychodził mu z pomocą niejednokrotnie nawet w sposób cudowny, teraz — gdy misja jego była już ukończona, dopuścił, by proroka, którego przez lata sam stopniowo oczyszczał ze wszystkiego co w jego duszy było wyłącznie ludzkie, wrogowie odarli na koniec również z cielesnych resztek jego człowieczeństwa. Nie dopuścił jednak jeszcze, by postradał życie. Wrzuconego do studni ręka Pańska uchroniła przed rozbiciem czy też zatonięciem. Nie w stanie bowiem tępej rezygnacji miał on kończyć swą misję, lecz w stanie pełnego zrozumienia myśli i woli kierującego nim Boga — i to Boga nie tylko sprawiedliwego, lecz miłosiernego. Po wielu latach wewnętrznego rozdarcia, bólu, niepewności i pesymizmu, miał przyjść na Jeremiasza wreszcie okres całkowitego uspokojenia, wewnętrznego szczęścia i pełnego ufności w Bogu, optymizmu. W głębinie studni dokonała się nagle całkowita przemiana proroka. Gdy oprzytomniał, po początkowej utracie przytomności, był to już zupełnie inny człowiek.

„...Był potłuczony i szumiało mu w głowie. Kości jednak były całe. Podniósłszy głowę... nieoczekiwanie dla samego siebie, uśmiechnął się... Zapomniał, że stoi w smrodliwym błocie... To, co ku niemu nadchodziło, miało moc strącania wszystkich spraw życia w mrok niebytu... Zrozumiał, że Pan jest blisko... Głos sływał ku niemu w aureoli takiej radości, jakiej nie pamiętał jeszcze nigdy... Jeremiasz zaczął się śmiać — on, który nie śmiał się nigdy... Nagle stąd, z głębi studni ujrzał świat zgoła inny: dziś było krwawe i bolesne, — jutro... jasne, słoneczne, radosne. Cóż znaczy upadek i niewola? Ludzie powrócą!... powrócą do ziemi, którą dał Pan!... i rozmnożą się niby piasek morza!... Ludzie zbiegali się, pochylali nad ciemną studnią, z której dna krzyczał ogarnięty nagłą radością prorok. Słuchali jego słów, potem wyraziście spoglądali na siebie... „Dziwnie mówi. Powiada, że Pan zawrze z nami nowe przymierze. Że da pokoleniu dawidowemu króla-wybawiciela... Czy mamy uciekać do Chaldejczyków?” — pytano raz po raz. Ale dziś Jeremiasz na to pytanie nie odpowiadał. Stało się ono dla niego mało ważne, zbyt dzisiejsze. Znowu żył cały tym, co miało nastąpić. „Mówi Pan: — wołał z oczyma płonącymi, z rękoma uniesionymi nad głowę — skruszę jarzmo niewoli i już go nigdy nie będzie! Zawrę przymierze nowe i nowy zakon wpiszę nie na ciele, ale na wnętrznościach człowieka...” Śmiał się jak dziecko, przemawiając: „wróćcie! przyjdzie bowiem ten, który was powiedzie ku przyjaźni z Panem. Narodzi się wódz i książę...” Słuchano go w milczeniu. Nikt nie śmiał kpić” (str. 280 nn.).

Ten nowy nastrój proroka nie był bynajmniej wywołany jakimś chwilowym rozstrojem nerwowym pod wpływem ostatnich przeżyć.

Była to prawdziwa, szczerą i głęboką radość człowieka, który pod wpływem oświecenia bożego zobaczył nagle w blaskach nadprzyrodzonej łaski szeroki widnokrąg myśli i planów bożych, niemożliwy do ogarnięcia naturalnym wrokiem śmiertelnego człowieka. Kiedy Jeremiasza, w jakiś czas później, zaprowadzono do króla Mataniasza, i tam również

„mówił dalej z nieścąbnącym zapalem: ciesz się! ciesz się! (Mataniaszu). Ród Dawidowy nie zginie i nie zostanie odepchnięty. Nie odejmie Pan łaski od niego, nie wyrzeknie się narodu Swego wybranego. Ciesz się! Powróci lud do nowej Jerozolimy, lepszej i nieśmiertelnej. Czy się cieszysz Mataniaszu? Narodzi się Ten, który jest szczęściem słońca i wybrańcem gwiazd. — Król... nieśmiało przerwał Jeremiaszowi: lecz Nabuchodonozor? — prorok uśmiechnął się dobrotliwie. Nabuchodonozor, oblężenie, to były sprawy, które się już dokonały, już były poza światem, w którym żył Jeremiasz...” (str. 284).

(Dok. nastąpi).

Kraków

KS. JÓZEF SYKULSKI

TRADYCJE BIBLIJNE W IRANIE

W czasie wędrówek odbywanych po Iranie w r. 1945 zetknąłem się z kilku tradycjami biblijnymi w prastarych miejscowościach, pamiętających niezawodnie czasy proroków i królów izraelskich. Mam na myśli P a z a r g a d ę i S u z ę. Jedna i druga były niegdyś kwitnącymi stolicami Achemenidów (VI—IV w. przed Chr.), założycieli i budowniczych staroperskiego imperium.

Pazargada dzisiejsza to garstka ruin potężnej niegdyś stolicy zjednoczonego państwa Medów i Persów. Miejscowość ta jest położona przy wielkiej szosie Isfahan—Szyraz, kilkadziesiąt kilometrów na północ od stolicy południowego Iranu. Mała wioszczyna pod nazwą Korszul, zamieszkała przez ludność z plemienia Kaszgajów, przytuliła się do ruin starożytnego miasta, wiodąc marny żywot w ramach zachowanego tutaj ustroju feudalnego.

Najcenniejszym klejnotem klasycznych ruin Pazargady jest doskonale zachowany grób Cyrusa Wielkiego (558—528 przed Chr.). Zbliżającemu się doń turyście ukazuje się grobowiec na końcu zielonej alei topól perskich jako imponująca budowla z biało-żółtego kamienia o wyraźnych wpływach wczesnej sztuki greckiej. Ten wspinały zabytek odległej starożytności czczony jest przez ludność perską jako